

**AŁBENA
GRABOWSKA**

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

DOKTOR ZOSIA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Albena Grabowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

WSTĘP

Przedstawiam Wam trzeci, ostatni już tom *Uczniów Hippokratesa*, cyklu powieściowego, w którym połączyłam swoją wiedzę medyczną z warsztatem pisarskim i w który włożyłam całe swoje serce, tak aby jak najpełniej opowiedzieć o historii medycyny na ziemiach polskich. *Doktor Zosia* jest hołdem złożonym zapomnianym dziś bohaterom, którzy gdyby nie wojenna zawierucha, zostaliby uhonorowani prestiżowymi nagrodami, dostąpiliby zaszczytów albo przynajmniej zyskaliby status światowych autoritetów medycznych tamtych czasów. W ten sposób składam wyrazy szacunku tym, którzy w czasie wojny nieśli ludziom pomoc, narażając życie własne oraz swoich rodzin. Chciałam też oddać cześć medykom, którzy za swoją działalność lekarską zostali rozstrzelani, wywiezieni do obozów koncentracyjnych lub zamordowani w Katyniu.

Akcję powieści umieściłam w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, nieistniejącym już szpitalu wojskowym, zbombardowanym przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego. Rozkwit szpitala, rozwój klinik i doskonalenie się pracujących tam lekarzy i lekarek przypadają na dwudziestolecie międzywojenne. Ten piękny czas, łaskawy dla kultury, był także niezwykle produktywny dla polskiej nauki.

Podobnie jak w dwóch poprzednich tomach cyklu, opowieść fabularną przetykam prawdziwymi historiami, tak aby czytelnik

mógł jak najlepiej i najpełniej zrozumieć, z czym borykała się medycyna tamtych czasów i jakich odkryć dokonywali ówcześni lekarze klinicyści oraz naukowcy, którzy zdobywali wiedzę, patrząc w mikroskop bądź obserwując szalkę laboratoryjną. W tej książce poznamy historię: Rudolfa Alberta von Köllikera (histologa i embriologa), Aloisego Alzheimera (psychiatry i neuropatologa), Alexandra Fleminga (bakteriologa i lekarza), Fredericka Granta Bantinga (fizjologa), Johna Hughlingsa Jacksona (neurologa) oraz polskiego naukowca Kazimierza Funka. Niektórzy z nich, jak Fleming czy Banting, zostali docenieni za życia i uhonorowani najbardziej prestiżowym wyróżnieniem – Nagrodą Nobla. Inni, jak chociażby odkrywca witamin Kazimierz Funk, chociaż na nią zasłużyli – nie otrzymali jej.

W części fabularnej występuje wielu bohaterów autentycznych, których wymieniam z imienia i nazwiska. Są to nie tylko lekarze, lecz także artyści, inżynierowie, żołnierze, powstańcy i zwykli ludzie. To ledwie ułamek z tych, którym pragnęłam złożyć hołd. Wśród nich chciałabym wyróżnić trzy osoby: Marię Werkenthin (pierwszą kobietę radiolog, która została ordynatorem), Witolda Zawadowskiego (jednego z najwybitniejszych polskich radiologów) oraz Zofię Garlicką (pierwszą kobietę ginekolog, która została ordynatorem), troje wybitnych lekarzy, z których tylko profesor Zawadowski przeżył wojnę. Doktor Werkenthin oraz doktor Garlicka zostały zamordowane w Auschwitz.

I wreszcie podziękowania:

Dziękuję wydawcy *Uczniów Hippokratesa* – wydawnictwu Marginesy, które aktywnie wspiera moją misję opowiadania o lekarzach i lekarzach.

Dziękuję wszystkim, którzy podzielili się ze mną opowieściami o wojnie i życiu ludzi pod niemiecką okupacją. Dziękuję tym, którzy powierzyli mi historię własnych ojców, dziadków oraz przyjaciół. Przede wszystkim jednak dziękuję panu doktorowi

Krzysztofowi Królikowskiemu, prezesowi Stowarzyszenia dawnego Szpitala Ujazdowskiego, który pewnego wiosennego dnia zaprosił mnie na wycieczkę po Ujazdowie i przekonał do tego, żeby akcję trzeciego tomu *Uczniów Hippokratesa* osadzić właśnie tam. Przez cały czas pracy nad powieścią służył mi wszelkimi materiałami, wiedzą, doświadczeniem oraz czasem, aby moja opowieść była jak najpełniejsza i najprawdziwsza. Z całego serca dziękuję.

Dziękuję także Wam, Czytelniczki i Czytelnicy. Gdyby nie Wy, nie powstałaby powieść o doktorze Bogumile, który jako jeden z pierwszych lekarzy w Polsce zrozumiał, czym są aseptyka i znieczulenie okołoporodowe, o doktor Annie Tomaszewicz-Dobrskiej, pierwszej polskiej dyplomowanej lekarce, i o doktor Zosi Gorazdowskiej, której działalność lekarska przypadła na czas wojny.

Dziękuję i zapraszam do lektury.

ROZDZIAŁ I

w którym poznajemy Zosię Nibużankę, dziewczynę z dobrego domu, chociaż jej przyjsciu na świat towarzyszył skandal, i ze zdumieniem dowiadujemy się, że nie chce ona wychodzić za mąż, gdyż jest lekarzem i z tą profesją wiąże swoją przyszłość. Wprawdzie nie jest jej łatwo, bo wciąż jest na dorobku, ciotka wypomina jej „łaskawy chleb”, a mentor w szpitalu nie przyjmuje do wiadomości, że jest rok 1924, ale Zosia nie poddaje się i walczy o swoje miejsce na świecie i szacunek kolegów.

Zosia Nibużanka uśmiechnęła się do pani Borawskiej najgrzeczniejszym i najbardziej niewinnym ze wszystkich swoich uśmiechów. Kobieta nie dała się jednak zwieść.

– Hmm – chrząknęła i upiła spory łyk herbaty, którą Zosia zaparzyła osobiście, jako że nie było służącej. – Przejdźmy do rzeczy.

„Czyli do próby zeswatania mnie”, westchnęła w duchu dziewczyna i wyprostowała się na krześle.

– Umie panienka podać dobrą herbatę, to na początek coś – zauważyła stara dama, a Zosia ponownie pokiwała głową, aż jej niesforne jasne loki podskoczyły.

– I jak służby zabraknie z takich czy innych powodów, to panienka sobie poradzi do czasu, aż zgodzi odpowiednie osoby.

Zosia jeszcze raz kiwnęła głową, przywołując w pamięci energiczną Julcię. Julcia była służącą wujostwa Reszczyńskich, używaną Zosi z dobroci serca na dwa dni w tygodniu. Dawało to dziewczynie złudne poczucie, że ma kogoś do sprzątnięcia i zaparzania kawy oraz herbaty na wypadek odwiedzin znajomych, których nie miała, albo swatki, której nie chciała gościć.

– Dziękuję – odpowiedziała, bo chyba należało podziękować, a poza tym Zosia była więcej niż pewna tego, że poradzi sobie w każdej sytuacji.

Nauczyło ją tego smutne dzieciństwo, przy niezaradnym ojcu, bez matki, która odeszła przedwcześnie, a potem przy dziadku, który nie mógł ukryć rozgoryczenia, że losy jego jedynej córki tak źle się potoczyły. Długo nie mógł wybaczyć Zosi, że się urodziła, ponadto miał do niej żal, że nie była chłopcem. Lata młodości były dla dziewczyny łaskawsze, ale również wymagały od niej hartu ducha i niebываłej odwagi, aby wstąpić na studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie na wydziale lekarskim w tym czasie studiowało zaledwie dwadzieścia kobiet. Wreszcie Zosia zamieniła spokojny i cichy dom w Krakowie na klitkę przy ulicy Żelaznej w Warszawie, gdzie musiała liczyć każdy grosz i ciężko pracować. Nie narzekała jednak i znosiła bez słowa skargi wszelkie przeciwności losu, bo miała przed sobą jasno wytyczony cel.

Pani Borawska tymczasem nałożyła sobie na porcelanowy talerzyk kopiastą łyżeczkę konfitur poziomkowych, których słoik Zofia otworzyła z bólem serca, bo nie stać jej było na żadne słodycze z cukierni. Owe konfitury, przywiezione z Krakowa, a подарowane Zosi przez Honorkę, starą służącą pamiętającą jeszcze „panieneczkę Marysię, tego kwiatuszka, który się zmarnował”, stanowiły jedyny deser, którym dziewczyna mogła wynagrodzić sobie trudy codziennego życia w Warszawie. Konfitury poziomkowe były czymś więcej niż zamkniętymi w słoiku słodkimi owocami – były wspomnieniem łąk, po których biegała jako dziecko, i lasów, w które lubiła się zagłębiać, wyobrażając sobie, że jest królowną uciekającą z wysokiej wieży, ściganą przez całą zgraję złodziei nasłanych przez wrogów dziadka. Zosia racjonowała przysmak – pozwalała sobie na łyżeczkę konfitur przy niedzieli – i cierpiała teraz, widząc, jak rubinowe owoce znikają w szerokich ustach pani Borawskiej.

– Podziękujesz, jak ci dobrego męża znajdziemy. – Pani Borawska pokiwała głową, a Zosia tym razem się nie uśmiechnęła, tylko popatrzyła z rezygnacją na kobietę siedzącą na przeciwko.

„Jeśli będę niewiele mówiła, może ją to zniechęci i sobie pójdzie”, pomyślała. Niestety nie miała pojęcia, że dobrą swatkę nie jest tak łatwo zniechęcić, że zawsze jest ona gotowa przekonać pannę do zamążpójścia i ma w zanadru kilku kandydatów, z których każdy kolejny jest bardziej nieodpowiedni od poprzedniego.

– Słuchaj, turkaweczko, co ja tu dla ciebie mam – podjęła pani Borawska, kiedy wreszcie odsunęła od siebie talerzyk i wypięła ostatni łyk herbaty. – Pan mecenas Andruszkiewicz, wdowiec, ale młody...

– Mecenas Andruszkiewicz ma pięćdziesiąt lat – przerwała jej Zosia ze zgrozą w głosie, nie zważając na to, że przerywać nie należy, zwłaszcza starszym i w domyśle mądrzejszym. – Nie jest młody. Jest bardzo stary!

– Jak na wdowca jest młody. Ty masz dwadzieścia dwa lata, on jest w sam raz dla ciebie – odparła pani Borawska, nie zwróciwszy uwagi dziewczynie, że weszła jej w słowo.

– Mecenas Andruszkiewicz ma córkę w moim wieku – zaprotestowała Zosia, ale zaraz się uspokoiła, bo uświadomiła sobie, że po pierwsze, nikt jej siłą przed ołtarz nie zaciągnie, a po drugie, dobrze знаła rodzinę Andruszkiewiczów i wiedziała, że mecenas to porządny człowiek, który ledwie rok temu owdowiał i ogromnie przeżywa śmierć ukochanej żony.

Kiedy ostatnio widziała go na jednym z przyjęć ciotki Reszczyńskiej, na które musiała uczęszczać, ponieważ „tak wypadło”, zamieniła z nim kilka słów i było jej go strasznie żal, bo od śmierci uroczej pani Andruszkiewiczowej postarzał się jakby o dziesięć lat i schudł tak, że Zosia ledwie go poznała. Nie wyglądał

też na osobę chętną do ponownej żeniaczki. „I na pewno nic nie wie o zakusach pani Borawskiej”, pocieszyła się szybko w duchu. Przypomniała sobie także, że miała siedzieć cicho i czekać, aż swatka się podda i sobie pójdzie, więc znów spróbowała przybrać miły wyraz twarzy i postanowiła odzywać się tylko wtedy, kiedy będzie to bezwzględnie konieczne.

– Będziesz jej przyjaciółką i po trosze matką, zanim urodzisz własne dzieci – podsumowała sprawę starsza dama.

– Nie – sprzeciwiła się stanowczo Zosia, czym natychmiast złamała własne postanowienie. – Nie, tak nie może być. Mecenas Andruszkiewicz to... – Zawahała się. – Mecenas Andruszkiewicz to porządny, przemyśły człowiek, który nigdy wobec mnie... Nigdy wobec mnie nie...

– Gdy miał żonę, świeć panie nad jej duszą, nigdy na ciebie nie patrzył w ten sposób – tłumaczyła jej cierpliwie pani Borawska.

– Teraz też nie patrzy – wykrztusiła Zosia. – Ja nie jestem dobrą partią.

– Przynajmniej dopóty, dopóki twój dziadek nie opuści ziemskiego padołu, a i wtedy, z tego, co mi doniesiono, nie będziesz szczególnie bogata. Dlatego też nie możesz grymasić – oznajmiła swatka.

Zosię w pierwszej chwili zamurowało, w następnej oburzyła się, usłyszawszy tak nietaktowne słowa.

– Nie – powiedziała z mocą.

Pani Borawska już otwierała usta, żeby rzucić jakąś ciętą ripostę, ale uznała, że mówiąc „nie”, Zofia Nibużanka zgadza się z nią co do tego, że nie jest dobrą partią i nie znajdzie męża, jeśli się jej nie pomoże, nie poda ręki i nie uświadomi, na co realnie może liczyć.

– Otóż to – przytaknęła stara dama. – Nie.

– Dziękuję – odpowiedziała z ironią w głosie Zosia, bo miała zupełnie co innego na myśli.

– Dlatego słuchaj, co ja ci tu mówię. Radca Kowalski. Jemu chyba niczego nie możesz zarzucić. Młodszy od Andruszkiewicza – palnęła swatka, a Zosi, która oczyma wyobraźni już widziała, jak sprząta po gościu i zagłębia się w lekturze pism, które spoglądały na nią z półki nieopodal, zastygła w przerażeniu. Ta propozycja była o stokroć gorsza.

– Młodszy tylko o dziesięć lat – powiedziała ostrożnie.

– Nie jest wdowcem i nie ma dzieci – przekonywała ją pani Borawska. – Ponadto majątny, a wiem skądinąd, że panienka mu się podoba.

Zosia wzdrygnęła się. Radca był tępy, tłusty i niezgułowaty. Myśl o tym, że mogłaby z nim dzielić życie, wydała się jej niedorzeczna.

– Nie – odparła znów.

Pani Borawska o dziwo nie próbowała naciskać, widocznie był to kandydat i przez nią uznany za nierokującego – a może przeznaczyła go innej pannie.

– Karol Wereszczaka. – Pani Borawska najwyraźniej w swoim mniemaniu wyciągnęła asa z rękawa, bo po wypowiedzeniu tego nazwiska przybrała triumfalny wyraz twarzy. – Młody, przystojny, majątny i tylko czeka, aby go usidlić.

Zosiaomalże nie parsknęła śmiechem.

– Przecież to utracjusz – powiedziała. – Przegrywa w karty pieniądze rodziców i spotyka się z kobietami – tu skromnie spuściła głowę – lekkich obyczajów.

– W sam raz dla ciebie – stwierdziła pani Borawska, a Zosia, zamiast natychmiast się obrazić, zastanowiła się nad jej słowami.

W rzeczy samej słowa swatki były obraźliwe, jeśli wziąć pod uwagę to, co prezentował sobą kuzyn Karolek. Jeśli natomiast patrzeć na to, czym trudniła się Zosia, słowa pani Borawskiej miały głębszy sens.

– Ja tak nie uważam – powiedziała Zosia po zastanowieniu. – Pomogłabym raczej ofiarom chuci Karola Wereszczaki niż jemu samemu.

Pani Borawska wysunęła brodę do przodu. Najwyraźniej słowa młodziutkiej podopiecznej państwa Reszczyńskich zrobiły na niej wrażenie.

– Sporo majątku mu jeszcze pozostało – oznajmiła z godnością swatka. – A mądra kobieta, jeśli uwije mu gniazdko i sprowadzi do niego ptaszki, jego samego w domu zatrzyma i sprawi, że będzie szczęśliwy.

Zosia знаła Karola Wereszczakę i była pewna, że żadne gniazdko, ptaszki i ćwierkanie nie odciągną go od hazardu i dziwek. Poza tym oburzyły ją słowa, że to do niej należy sprowadzenie mężczyzny pokroju Karola ze złej drogi.

– Wątpię, aby to było możliwe – stwierdziła i dodała: – Karol Wereszczaka nie nadaje się na męża. Na pewno nie dla żadnej porządnej dziewczyny.

– Z takim podejściem, moja droga, to ty męża nie znajdziesz – zauważyła pani Borawska.

– Ale ja przecież mówiłam, że wcale nie szukam – weszła jej w słowo Zosia. – Poza tym nie podejmuję się uszczęśliwiania mężczyzn. Wydaje mi się raczej, że to mężczyzna powinien uszczęśliwiać mnie.

Było to typowe dziewiętnastowieczne podejście, więc Zosia sądziła, że swatka je podziela, wydawało się bowiem, że pani Borawska zatrzymała się mentalnie i obyczajowo w ubiegłym wieku. Zosia jednak się pomyliła. Swatka tylko machnęła ręką.

– Wiem, wiem... – powiedziała cierpkim głosem. – Panuje moda na wykształcone panienki, które garną się do pracy... Swatki to przeżytek, relikwiny dziewiętnastego wieku. A ja panience mówię, że jeszcze wróci stare i dobre.

„Niedoczekanie pani Borawskiej”, pomyślała Zosia, ale tym razem przytomnie nic nie powiedziała.

– Ja wiem, co panienka sobie myśli – stwierdziła swatka i dodała cierpko: – Ale niech panienka nie zapomina, czego życzą sobie jej dobroczyńcy.

– Wiem, czego życzą sobie moi dobroczyńcy, którzy w szlachetności swojej użyczyli mi mieszkania, abym mogła w spokoju pracować zgodnie z moim wykształceniem i pasją. – Zosia uniosła wzrok i śmiało spjrzała swatce w twarz.

Borawska i na te słowa nie zareagowała tak, jak Zosia przewidywała.

– Moja panno – westchnęła kobieta i zrobiła zatroskaną minę. – Ty jeszcze tego nie wiesz, ale ja wiem, że droga, którą obrałaś, prowadzi cię na manowce.

– Zatem proszę nie tracić na mnie czasu. – Zosia ze zniecierpliwieniem podniosła się z krzesła, zdecydowana wyprosić panią Borawską.

Może i ciotka, daleka krewna jej zmarłej matki, chciała dobrze, ale Zosia nie zamierzała porzucić swojej pracy – tego, co najbardziej na świecie kochała – i osób, które w nią uwierzyły. Tylko z szacunku wobec ciotki zgodziła się przyjąć do siebie swatkę i udawać, że jest skromną panienką na wydaniu, która tylko czeka, aż pani Borawska pomoże jej zostać szczęśliwą małżonką u boku jakiegoś jegomościa, starego, głupiego albo próżnego, w najgorszym wypadku uosabiającego wszystkie te cechy, który pierwsze, co zrobi po ślubie, to zabroni jej pracować.

– A zatem do widzenia, moja panno – powiedziała pani Borawska w drzwiach. – Powiem twojej ciotce, że to moja ostatnia wizyta u ciebie. Nie przywykłam służyć impertynencji.

Zosia uśmiechnęła się grzecznie i demonstracyjnie odetchnęła z ulgą, co panią Borawską oburzyło do reszty. Kiedy zamknęła za swatką drzwi, poszła posprzątać po gościu i dojadła konfitury,

co zagłuszyło jej wyrzuty sumienia. Mimo wszystko żałowała, że nie była bardziej powściągliwa i nie umiała dać do zrozumienia kobiecie, że nie ma u niej czego szukać, w grzeczniejszy sposób. „Musisz nauczyć się panować nad emocjami”, przypomniała sobie słowa swojej mistrzyni, doktor Grażyny Ungerowej. „My, lekarki, nie możemy pozwolić, żeby pacjent wyprowadził nas z równowagi”. Pani Borawska nie była pacjentką, ale w rozmowie z nią Zosia dała popis niecierpliwości i lekceważenia, czego z pewnością nie pochwaliby doktor Ungerowa, która umiała sobie poradzić z najbardziej rozhisteryzowanymi pacjentkami i roszczeniowymi rodzinami, a przy tym ani na chwilę nie traciła klasy i cierpliwości.

Co do rodziny Reszczyńskich, sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Ciotka może i była krewną matki, ale Zosia wiedziała, że wcale nie chce przyjąć jej pod swój dach. Z kolei wuj początkowo wydawał się bardzo jej przychylny, miły i pomocny, ale kiedy Zosia zaczęła go unikać po tym, jak wielokrotnie niby przypadkiem dotknął jej kolana, dzieląc się z nią radami życiowymi, ich stosunki wyraźnie się ochłodziły. Z czasem Witold Reszczyński przyjął pogląd kłótlivej żony, że każde brewerie muszą się kiedyś skończyć, a każda porządna panna znaleźć męża.

– No nic – powiedziała głośno Zosia i sięgnęła po podręcznik histologii Rudolfa von Köllikera.

Chciała powtórzyć embriologię, z której jutro miała kolokwium w szpitalu. Zagłębiła się w pasjonującym temacie budowy i różnicowania listków zarodkowych, z których powstawał człowiek.



– Chociaż chce pani być ginekologiem, musi sobie pani zdawać sprawę z tego, że organizm kobiety jest całością! – grzmiał doktor Halicki.

„Jestem ginekologiem, do diabła. I to cholernie dobrym”, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Lepiej było nie zaczynać dyskusji z doktorem Bernardem Halickim, bo mogło się to skończyć odsunięciem od pracy.

– Tymczasem ja panią pytam o przyczyny niewydolności serca, a pani mi tu duka...

Zosia i tym razem nie zaprotestowała. Mogłaby powiedzieć, że po trzech godzinach odpytywania z położnictwa i ginekologii – przy czym warto zaznaczyć, że udzieliła poprawnych odpowiedzi na wszystkie pytania doktora – była nieco zaskoczona, kiedy Halicki zaczął przepytować ją z kardiologii, ale i tu sobie poradziła. Niestety chwilę wahania doktor wykorzystał przeciwko niej i natychmiast oskarżył ją o niewiedzę.

– Dobrze – odezwał się. – Skoro nie ma pani pojęcia, jak funkcjonuje u ludzi układ krwionośny, wróćmy do położnictwa. Niech pani opisz budowę łożyska.

– Łożysko łączy układ krwionośny matki z układem płodu – zaczęła, ale Halicki natychmiast jej przerwał.

– Nie pytałem o funkcję, tylko o budowę! – wrzasnął i rzucił niedopałek do popielniczki, a następnie odpalił kolejnego papierosa.

– W skład łożyska wchodzi powierzchnia maczyna łożyska, zespolona przez całą ciążę ze ścianą macicy...

– Pytałem o budowę mikroskopową! – zagrzmiał ponownie Halicki. – A pani udaje, że mnie nie rozumie, bo pani nie umie...

Zosia siedziała jak trusia i pozwalała się rugać jak byle służąca, która nie dość dobrze wytarła podłogę.

– Łożysko składa się z...

– Po łacinie! – znów wrzasnął.

Zosia i tym razem nie dała się wyprowadzić z równowagi. Wymieniła wszystkie warstwy i naczynia po łacinie.

Kiedy po kolejnej godzinie Halicki wyrzucił ją wreszcie za drzwi, burknąwszy, że dziewczyna może nadal pracować, była mokra od potu i niemalże zdecydowana, aby zabrać swoje rzeczy z szafki lekarskiej, wyjść z Miejskiego Zakładu Położniczego im. Świętej Zofii i nigdy do niego nie wracać.

Przypomniała sobie, jak pierwszy raz stanęła w jego progu, naturalnie z rekomendacji dziadka, bo kogóż by innego, ale jak zwykle postanowiła udowodnić, że ani płęć, ani protekcja nie zmieniają tego, czego była pewna – że jest wspaniałą lekarką, oddaną położnicom, i żaden mizogin jej nie zaszkodzi.

– I jak ci poszło? – spytał ją Bogumił Soszyński, kolega ginekolog, który nie był ani tak zdolny jak ona, ani tak pracowity, ale był mężczyzną.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Jeśli ktoś odpowiadał na pytania doktora Halickiego przez cztery godziny, a potem słyszał, że nic nie umie, ale może dalej pracować – pod warunkiem, że zacznie się uczyć – to tak, jakby przyjechała delegacja ze Szwecji, żeby wręczyć delikwentowi Nagrodę Nobla.

Soszyński uśmiechnął się, a potem rzucił lotką w tarczę powieszoną obok obrazu przedstawiającego płód w macicy w przededniu jej opuszczenia. Obraz był piękny i tak perfekcyjnie namalowany, że mógł zastąpić atlas anatomiczny. Został podarowany szpitalowi przez malarkę, która szczęśliwie powiła zdrową dziewczynkę. W ten sposób postanowiła odwdziżyć się za opiekę.

– Uszkodzisz obraz – zwróciła koleżdze uwagę Zosia, bo Soszyńskiemu rzadko udawało się trafić w tarczę.

Mężczyzna zrobił obrażoną minę i ponownie rzucił lotką. Trafił w dwójkę, co go wyraźnie rozzłościło.

– Wyglądasz nie najlepiej – stwierdził złośliwie, przypatrując się Zosi z uwagą. – Może sobie usiądź, moja droga, i popraw loczki.

„Następny, który traktuje mnie jak słodkie dziewczętko, a potem prosi o notatki”, pomyślała, ale usiadła, tyle że zamiast poprawiać loczki, które i tak żyły własnym życiem i nie dawały się ujarzmić, zażądała, aby kolega zrobił jej herbaty. Potem jednak dostrzegła, że na biurku wśród licznych papierów, w sąsiedztwie mikroskopu i popielnicy wypełnionej niedopałkami, stoi filiżanka świeżo zaparzonego napoju, którego Soszyński jeszcze nie zdążył upić. Poczęstowała się bez pytania o pozwolenie.

– Już nie musisz. Co mamy na stanie? – spytała, popijając herbatę małymi łyчками.

– Spokój – powiedział z zadowoleniem. – Dwie położnice urodziły w terminie. Pozostałe czekają. Jedna jest w izolatce.

– Sprawdziłeś łożyska? – dociekała.

– Położne to zrobiły. – Wzruszył ramionami. – Mówiły, że łożyska są całe.

Zosia dokończyła herbatę. Doktor Ungerowa nigdy nie zaniechałaby sprawdzenia łożyska, choćby położna zapewniała, że wyszło całe. Podobno legendarna doktor Dobrska¹, pierwsza dyplomowana polska lekarka, mentorka wszystkich ginekologów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, potrafiła przyjechać do szpitala tylko po to, żeby sprawdzić, czy na pewno jama macicy pacjentki została opróżniona jak należy. W końcu od tego zależało zdrowie i życie położnicy.

– Na twoim miejscu mimo wszystko bym sprawdziła – powiedziała.

– Jeśli nie wierzysz położnym, sprawdź sama – zasugerował Bogumił. – Ja im ufam.

¹ Anna Tomaszewicz-Dobrska (1854–1918) – pierwsza polska dyplomowana lekarka, bohaterka *Doktor Anny*, drugiego tomu cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

– To nie jest kwestia zaufania – powiedziała z westchnieniem Zosia i pomyślała, że gdyby to ona nie sprawdziła łożysk, Halicki nie zostawiłby na niej suchej nitki, ale Soszyńskiemu z racji płci na pewno się upiecze.

– Dziękuję za herbatę. Do jutra – powiedziała.

Soszyński machnął ręką i pochylił się nad jakimiś papierami. „Przynajmniej papierami się zajmuje”, pomyślała Zosia. Kiedy przyszła do pracy, jeden z lekarzy położył przed nią stertę pustej dokumentacji lekarskiej i nakazał jej „się tym zająć”. Może i by to zrobiła, ale stwierdziła, że opisywanie przebiegu porodu czy operacji, przy której jej nie było, jest nadużyciem. Uznała to zadanie za próbę i odmówiła, czym zyskała pierwszego wroga w osobie doktora Halickiego. Jak się okazało – nie jedynego, który potem został jej „opiekunem”.

– Przyszłam sprawdzić łożyska – powiedziała do położnej Janiny Uniejskiej, uczennicy doktor Dobrskiej.

– Bardzo proszę, pani doktor – odpowiedziała kobieta i zaprowadziła Zosię do pomieszczenia, gdzie mogła dokładnie obejrzeć zrazik po zraziku i przekonać się, że łożyska opuściły macice w całości.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – powiedziała pani doktor i podziękowała Janince.

– Przywieziono właśnie kolejne dwie kobiety do porodu – oznajmiła położna. – Obie pierwiastki. Na szczęście płody są pojedyncze i prawidłowo ułożone. Pierwsza urodzi za kilka godzin, druga za kilkanaście.

Zosia zrozumiała, że siostra Janina daje jej w ten sposób do zrozumienia, że doktor Soszyński nie ma ochoty osobiście badać rodzących i nie przejmuje się ewentualnymi powikłaniami. W dni jego dyżurów natura ma sama załatwiać kwestię przyjścia dziecka na świat.

– Jest jeszcze doktor Halicki – powiedziała Zosia. – Ubrał Urszulkę, sądzą, że będzie pracował w gabinecie.

Urszulka była kobiecym szkieletem, który stał w gabinecie doktora Halickiego. Jeśli doktor „ubierał” szkielet, był to niewątpliwie znak, że nie zamierza wracać do domu, tylko studiować na miejscu pisma medyczne i robić notatki do swoich badań.

– Skoro pracuje, to nie pomoże – powiedziała Janina z cierpką miną. – Pracuje niby dla kobiet, ale nie do końca w ich służbie.

Janina odeszła, a Zosia stała jeszcze chwilę zdumiona śmiałością położnej. Musiała się jednak zgodzić z jej opinią na temat doktorów Halickiego i Soszyńskiego. „Po co zajmować się ginekologią, skoro nienawidzi się kobiet?”, pomyślała, wychodząc na zalane wiosennym słońcem podwórze szpitalne.



– Karol? – Zosia zdumiała się, widząc kuzyna siedzącego przed jej drzwiami.

Zastanawiała się, czego on może od niej chcieć. „Najpewniej pieniędzy”, odpowiedziała sama sobie. Jeśli taki był cel jego wizyty, to źle trafił. Szpital wypłacał Zosi pensję, a Reszczyńscy pobierali od niej jedynie skromną sumę za wynajem mieszkania, ale mimo wszystko dziewczyna nie zaliczała się do osób majątnych. Wciąż była na dorobku, oszczędzała każdy grosz, aby się uniezależnić. Na pewno nie miała pieniędzy, które mogłaby pożyczyć Karolowi na spłatę jego karcianych długów. I na pewno nie chciała marnować własnych środków na cudze słabości.

– Mogę wejść? – spytał pokornie kuzynek, a jego wielkie brązowe oczy wypełniły się łzami.

Zosia rozważyła wszelkie za i przeciw. Jeśli teraz przegoni Karola, gotów będzie albo zrobić coś głupiego, albo polecieć do swojej matki i naskarżyć na kuzynkę. Wereszczakowa była spo-

krewniona i zaprzyjaźniona z Reszczyńskimi i niechętna Zosi. Mogłoby się to skończyć wymówieniem dziewczynie mieszkania, które było wprawdzie skromne i ciasne, ale zupełnie jej wystarczyło.

– Oczywiście – przytaknęła Zofia i wpuściła mężczyznę do środka.

Karol wszedł do pokoju, a ona samodzielnie zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku, myśląc gniewnie, że co jak co, ale kuzynek, nawet przybity widmem skończenia w nurcie Wisły z kamieniem u nogi za długi, powinien zachowywać się wobec niej jak dżentelmen.

– Mógłbyś chociaż... – zaczęła rugać Karola, ale nie dokończyła.

Kuzynek stał na środku pokoju i wyglądał jak uosobienie rozpacz, choć w oczach miał determinację. Prawą dłońią targał swoją bujną czuprynę, lewą wymachiwał. Zerkał przy tym na okno, jakby miał zamiar przez nie wyskoczyć. Był ubrany w koszulę, kamizelkę i drogą marynarkę, uszytą dla niego przez któregoś z modnych warszawskich krawców. Nie byłoby w tym obrazku nic dziwnego, gdyby nie to, że od pasa w dół Karol był prawie nagi. Spodnie miał spuszczone do kostek, jego blade i szczupłe nogi były odsłonięte. Przyrodzenie zwisało smętnie pośród kręconych ciemnych włosów.

– Co, do... – zaczęła Zosia i przełknęła ślinę, bo widok był dość niecodzienny i co najmniej zaskakujący.

– Zobacz! – krzyknął z rozpaczą Karol i wskazał na swoje genitalia.

Zosia podeszła bliżej i przyjrzała się.

– Powiedz, że pchły mnie pogryzły – jęknął, a następnie wybuchnął płaczem.

Zosia dla porządku obejrzała zmianę skórną jeszcze raz, starając się na przyrodzenie Karola patrzeć jak lekarka, a nie jak

jakaś dzierlatka, ale było to dość trudne. Nie chodzi o to, że nie widziała nigdy męskich narządów, bo owszem, widziała chociażby podczas studiów, ale zwykle były to przyrodzenia albo nieboszczyków, albo zupełnie obcych jej ludzi. Karolka Zosia знаła, co więcej, nie dalej niż kilka dni temu pani Borawska przedstawiała go jej jako potencjalnego kandydata na męża.

– Nie pogryzły cię pchły – powiedziała cicho. – Przykro mi, Karolu.

Kuzyn przestał na chwilę płakać i znów popatrzył na nią sarnimi oczami.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła.

– Ale mnie to nie boli! – upierał się. – Mój znajomy, który miał syfa, mówił, że go bardzo bolało.

– To zmiana pierwotna – wyjaśniła mu. – A te nie bolą.

Karol podciągnął spodnie, a do Zosi nagle dotarła cała groza sytuacji. Kuzyn zaraził się syfilisem, chorobą, która przetrzebiła pół świata, a na którą wciąż nie było skutecznego lekarstwa. W dodatku przyszedł z tym do niej, co oznaczało kłopoty, i to pewnie spore. „No cóż – pomyślała – najpierw należy go uspokoić, a potem wypytać o szczegóły”.

– Nie! Nie! Nie! – zaczął nagle krzyczeć Karol. – Ja nie mogłem złapać francy!

– Ale złapałeś – stwierdziła spokojnie Zosia. – Pytanie tylko gdzie.

– Kiedy? – zapytał. – Kiedy to się mogło stać?

– Zmiana pierwotna – zaczęła recytować, bo temat był jej aż nazbyt dobrze znany, chociaż na szczęście nie z autopsji – pojawia się po około trzech tygodniach od stosunku z osobą zakażoną. Syfilisem można zarazić się poprzez stosunek tradycyjny, oralny albo – spojrzała znacząco – analny.

– Nie jestem sodomitą! – krzyknął oburzony. – Trzy tygodnie temu, powiadasz?

Wydawało się, że Karol intensywnie myśli, co – jak Zosia wiedziała z narzekań ciotki Reszczyńskiej – nie było jego mocną stroną.

– Gdzie ja byłem trzy tygodnie temu? – spytał na głos, a Zosia bezradnie rozłożyła ręce.

– To musiało być około Wielkanocy – powiedziała. – Może to ci pomoże?

Karol zastanowił się głęboko, a potem westchnął i zaczął trzeć oczy.

– To się zdarzyło tylko raz – wykrztusił w końcu. – Tylko raz. „Wystarczy raz”, chciała powiedzieć Zosia, ale powstrzymała się.

– Zaparzę ci herbaty, a potem pomyślimy, co zrobić, dobrze?

– Nie chcę herbaty! – wybuchnął Karol. – Idę zabić tę... tę... kurwę...

Zosia odczekała chwilę, po czym odezwała się cicho:

– Mówiłam ci, że kontakty z podobnym towarzystwem prędzej czy później...

Karol wycelował w nią błady palec.

– Życia nie znasz – stwierdził. – Życia nie znasz. Mężczyzna musi. Mój ojciec chadza do burdelu regularnie i co? Nigdy nic nie złapał.

Zosia nawet nie mrugnęła. Prostytycja była zupełnie legalna, nie dalej niż rok temu utworzono Urząd Sanitarno-Obyczajowy, który objął swoistą opieką córy Koryntu. Prawo zobowiązywało je do posiadania „czarnych książeczek”, czyli kart zdrowia świadczących o regularnych badaniach.

– Mówiłam ci, że chodzenie do burdeli jest bezpieczniejsze. Tamtejsze kobiety są systematycznie badane i jeśli któraś jest chora, nie ma mowy, żeby spotykała się z klientami. Musiałeś to

złapać na ulicy. Przyznaj się, Karolu, poszedłeś pewnie z jakąś z bramy? Za parę groszy, co?

Karol niechętnie przytaknął, a potem ukrył twarz w dłoniach. Zosia pokręciła głową. Najuboższe cichodajki, które wystawiały w bramach, świadcząc usługi za cenę kilkakrotnie niższą niż w burdelu, roznosiły choroby weneryczne.

– Co teraz? – spytał w końcu kuzyn.

– Teraz mi powiesz, czy potem byłeś jeszcze z jakąś kobietą – postanowiła Zosia. – Jeśli tak, trzeba ją znaleźć i uprzedzić, bo rozniesie zarazę.

– Wracałem jeszcze ze dwa razy do tamtej, bo była dobra i tania – wyznał niechętnie, zapomniawszy, że przedtem zarzekał się, „że to było tylko raz”.

Zosia odetchnęła z ulgą. Oczyma wyobraźni widziała, jak przeczesuje z koleżankami burdele i szuka dziewczyn, z którymi był Karol, a następnie mężczyzn, którzy spotkali się z tymi dziewczynami. Na szczęście nie było to konieczne.

– Dobrze. Podaj mi w takim razie adres.

– Chyba nie zamierzasz iść do tej kobiety? – spytał ze strachem.

Zosia właśnie tak zamierzała postąpić. Była to najmniej przyjemna część jej lekarskich obowiązków, ale bezwzględnie konieczna.

– Dobrze wiesz, że powinnam ją znaleźć i poinformować, że jest chora. W przeciwnym wypadku zarazi innych.

Już nieraz chadzała po bramach i namawiała prostytutki do badań, ofiarowując im swoje usługi. Takie działania należały do obowiązków młodych doktorek, jeszcze bez specjalizacji. Zosia nigdy nie chodziła do nich sama, chociaż kobiety stojące w bramach rzadko miały alfonsów. Bywało jednak, że do lekarek wychodził niczego nieświadomy mąż czy ojciec albo przeciwnie – taki, co stręczy własną żonę. Rozmowy z tymi ludźmi nie były

ani miłe, ani bezpieczne, ale jak już zostało powiedziane – były konieczne.

– Guzik mnie obchodzi inni – burknął Karol. – Nie podam ci adresu.

Zosia skrzyżowała ręce na piersiach.

– W takim razie ogłoszę w burdelu, że złapałeś syfilis – zagroziła.

– Nie zrobiłabyś tego – jęknął kuzyn.

– Wiesz, że nie chodzi o ciebie – próbowała mu wytłumaczyć. – No powiedz, gdzie się na nią natknąłeś, a ja załatwię tę sprawę dyskretnie. Znasz mnie, Karolu.

Mężczyzna znów zaczął płakać, po czym podał adres bramy przy ulicy Wilczej, a następnie opisał kobietę. Zosia pokiwała głową.

– Co ze mną będzie? – spytał wreszcie.

– Od kiedy to masz? – Wysunęła brodę w kierunku krocza kuzyna.

– Od kilku dni – jęknął.

– Utrzyma się jakiś miesiąc, może tydzień dłużej, a potem stwardnieje i zacznie boleć.

– Czyli mam miesiąc na podjęcie wszystkich życiowych decyzji – westchnął.

Zosia przekrzywiła głowę. Przypomniała sobie, że zanim doktor Ungerowa dopuściła ją do pracy, pytała o patogen, który wywołuje ową francuską – jak się mówiło w Polsce – chorobę. Zosia odpowiedziała wtedy, że ruchliwą i nieuchwytną bakterię udało się złapać i opisać dopiero w 1905 roku, a dokonali tego niemieccy uczeni – Fritz Schaudinn¹ oraz Erich Hoffmann². Było

¹ Fritz Schaudinn (1871–1906) – niemiecki mikrobiolog i protozoolog, odkrywca krętka bladego, bakterii odpowiedzialnej za zakażenie kiłą.

² Erich Hoffmann (1868–1959) – niemiecki dermatolog, prowadził badania nad krętkiem bladym, opisał kliniczne objawy kiły drugorzędowej.

to o tyle trudne, że ta – nomen omen – franca nie chciała rosnąć na pożywkach w laboratorium, chociaż tak skutecznie radziła sobie z namnażaniem się w ludzkim ciele.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedziała Zosia ze współczuciem.

– Myślałem o tym, żeby palnąć sobie w łeb – wyznał nieoczekiwane kuzyn, a ona gwałtownie zaprotestowała:

– Nie, Karolu, nie... Są różne możliwości.

– Nie pocieszaj mnie, bo nic mi nie może pomóc – stwierdził i zrobił tragiczną minę. – I najlepiej nie zbliżaj się do mnie – krzyknął, widząc, że Zosia siada obok niego i sięga po jego dłoń.

– To jest zakaźne tylko jedną drogą – powiedziała łagodnie.

– Kiła to nie gruźlica.

– Szkoda – powiedział gorzko. – Szkoda, że nie mam gruźlicy.

Zarówno gruźlica, jak i kiła zbierały na całym świecie wielkie żniwo. Obie choroby były nieuleczalne. Tyle że gruźlica była jakby mniej wstydliva, a w pewnych kręgach, z czym oczywiście Zosia się nie zgadzała, uchodziła za niemal romantyczną.

– Mam inne zdanie – powiedziała łagodnie. – Inaczej byś mówił, gdyby twoje płuca po prostu się rozpadły.

Przez krótką chwilę, kiedy profesor Koch¹ działał w Berlinie, wydawało się, że tuberkulina uwolni ludzkość od gruźlicy, ale okazało się, że substancja nie spełniła pokładanych w niej nadziei, nie leczyła gruźlicy i obecnie była stosowana jedynie w jej diagnostyce.

– Ale suchot nie trzeba się wstydzić. I nie szpecą człowieka – westchnął Karol. – No i można wyjechać w Alpy i tam pod kocym pisać wiersze o śmierci.

¹ Robert Koch (1843–1910) – niemiecki lekarz i bakteriolog, odkrywca m.in. bakterii wywołujących wąglik, cholere i gruźlicę. Uehonorowany w 1905 roku Nagrodą Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny za badania nad gruźlicą.

Zosia wyobraziła sobie Karola jako gruźlika w Szwajcarii. Opiekowała się nim piękna pielęgniarka. W jednej chwili ten uroczy obrazek zakłóciła wizja, jak Karol bałamuci pielęgniarkę i zaraża ją syfilisem, a potem rodzi im się dziecko z siodełkowatym nosem charakterystycznym dla dzieci urodzonych przez matki zarażone kiłą. Wzdrygnęła się.

– Karolu, ty też możesz i powinieneś wyjechać...

– Na kurację rtęciową, tak? – przerwał jej. – Pojechać do dalekiego kraju i przyjmować kalomel, to chcesz mi doradzić? W pierwszej kolejności moje jelita wywrócą się na drugą stronę, a jeśli nie zdąży mnie zabić biegunka, moja skóra pokryje się bolesnymi wrzodami. Będę się ślinił jak starzec, moim ciałem będą wstrząsały drgawki...

– Karolu, przestań – zaprotestowała Zosia. – Są inne...

– Wypadną mi wszystkie zęby oraz włosy – kontynuował, nie zwracając uwagi na jej słowa. – A na koniec zamienię się w żywego trupa. I to wszystko dla zdrowia.

– Posłuchaj mnie wreszcie! – krzyknęła.

Karol umilkł i wbił spojrzenie w swoje szyte na miarę buty, zapewne od Hiszpańskiego¹. Znów płakał. Tym razem jednak cicho i żałośnie. Ponownie ujęła go za rękę.

– Kuracja rtęciowa jest inna niż przed laty – zaczęła cicho, ale dobitnie. – Mimo wszystko to nie jedyna możliwość.

Karol podniósł głowę.

– Omawialiśmy to ostatnio na wykładach. Czytaliśmy doniesienia z Berlina na temat innego środka, który leczy kiłę. To salwarsan.

– Nie rtęć?

¹ Stanisław Feliks Hiszpański (1872–1939) – właściciel warszawskiej firmy szewskiej, prawnik, działacz społeczny, poliglota. Zginął podczas bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 roku.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie rtęć, tylko arsen. Doktor Ehrlich¹ w Berlinie opiekuje się pacjentami takimi jak ty. To wciąż kuracja eksperymentalna, ale wielce obiecująca. I nie tak drastyczna jak rtęć.

– To znaczy, że mam szansę na przeżycie? – spytał z nadzieją w głosie.

Przytaknęła, chociaż nie była pewna, czy arsen rzeczywiście pomoże nieszczęśnikowi. Doktor Ehrlich donosił z Berlina, że badania na ludziach powiodły się. Doktor Sahachirō Hata², który współpracował z doktorem Ehrlichem i w 1909 roku odkrył razem z nim lecznicze właściwości arsenu, także uznał, że salwarsan jest wspaniałym lekiem. Dzięki niemu kiła stała się uleczalna. W 1914 roku doktor Hata zainicjował badania epidemiologiczne w Instytucie Chorób Zakaźnych w Tokio. Zosi i jej mentorkom daleko było jednak do optymizmu, choć dostrzegały szansę. Poza tym do Berlina było bliżej niż do Tokio. Dziewczyna przypomniała sobie, co czytała o tym leku. Przede wszystkim nie był łatwy w użyciu, bo nie rozpuszczał się w wodzie i był bardzo wrażliwy na tlen, ale doktor Ehrlich pracował nad nowym preparatem, który miał być jeszcze skuteczniejszy i powodować mniej działań ubocznych.

– Arsen, powiadasz? – upewnił się Karol.

Zosia ponownie przytaknęła.

– Arsen – powtórzyła.

– I nie wypadną mi włosy? – dopytywał.

¹ Paul Ehrlich (1854–1915) – niemiecki chemik i bakteriolog, odkrywca salwarsanu, pierwszego w miarę skutecznego leku przeciwko kile. Uważany za twórcę podstaw chemioterapii. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w roku 1908.

² Sahachirō Hata (1873–1938) – japoński bakteriolog, współodkrywca leczniczych właściwości salwarsanu.

– Wiesz, Karolu, w twojej sytuacji, kiedy grozi ci...

– Wiem – znowu jej przerwał. – Szaleństwo w późnym stadium i śmierć w męczarniach.

– Może nie aż tak... – stwierdziła, ale zaraz znów pokiwała głową, bo najwyraźniej Karol był dobrze poinformowany na temat następstw nieleczzonej kiły.

Wiedziała nawet, skąd czerpał te informacje. Jego matka była daleką kuzynką Stanisława Wyspiańskiego¹, znanego Zosi malarza, poety i autora słynnych nie tylko w Krakowie sztuk teatralnych. Nie było dla nikogo tajemnicą, na jaką przypadłość chorował nieszczęśnik i jak cierpiał przed śmiercią, chociaż miało to miejsce kilkanaście lat temu. Było to przedmiotem rozmów na przyjęciach, co zawsze Zosię dziwiło, bo mimo jej profesji niewłaściwe wydawało jej się rozprawianie przy herbatce i ciastkach o uwiądzie członków czy postępowaniu, które przynosiło wstyd całej rodzinie, nawet dalekiej.

– Proszę cię... – westchnął Karol. – Jeśli masz mi zabrać nadzieję, zrób to jednym cięciem, jakbyś przecinała... jak to się nazywa?

– Wrzód – odpowiedziała.

– Właśnie. A jeśli chcesz mi dać nadzieję, to zrób to jak trzeba.

– Dobrze zatem – odparła. – Jeszcze dziś napiszę list do profesora, a jutro wyślę go pocztą. Ty zaś zajmij się przygotowaniem do podróży. Musisz porozmawiać z rodzicami na ten temat...

Karol doskoczył do niej, objął ją w pasie i uniósł wysoko, potem zaczął się obracać, aż zawirowało jej w głowie.

– Zostaw mnie, wariacie – powiedziała, a kiedy postawił ją na ziemi, dodała: – Wszystko będzie dobrze.

¹ Stanisław Wyspiański (1869–1907) – malarz, poeta, dramaturg i architekt, jeden z filarów Młodej Polski.